

DZIŚ

w numerze

- Na skrzyżowaniu dróg str. 2
- „Herbatka” str. 4
- Lekarz str. 6
- O elektrowni atomowej str. 7

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄD GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

S. NOWICKI

Miedzy uczelnia a Rada Narodowa

Na początek — pewne porównanie. Wyobraźmy sobie, że na planie miasta Warszawy zaznaczyliśmy np. kółkami wszystkie wyższe uczelnie. W inny sposób, np. kwadratami, oznaczmy władze zwierzchnie tych uczelni — a więc, Ministerstwo Szkół Wyższych, Ministerstwo Oświaty czy Ministerstwo Zdrowia. Jeszcze innym znakiem, dajmy na to trójkątami, oznaczmy władze terenowe — siedziby Dzielnicowych Rad Narodowych i St. RN.

I teraz, mając już wyraźnie zaznaczone wszystkie potrzebne nam punkty, postarajmy się również w plastyczny sposób, np. kolorowymi nitkami, oznaczyć częste kontakty i wzajemnych powiązań między uczelniami, a ministerstwami z jednej oraz radami narodowymi z drugiej strony.

Cóż się okazuje? Ilość nitek łączących uczelnie z ministerstwami jest bardzo duża, tworzy gęstą sieć. Natomiast kontakty z poszczególnymi DRN czy St. RN są nieliczne i nawiązywane w sporadycznych wypadkach.

Może ktoś nas zapytać skąd czerpalimy dane do przygotowania tego plastycznego obrazu wzajemnych stosunków. Odpowiedź będzie prosta — właśnie na uczelniach warszawskich. W rozmowach z przedstawicielami władz uczelni zadawaliśmy często pytania — ile razy zwracaliście się do rady narodowej i z jakimi sprawami? Ile razy sama rada zainteresowała się życiem, kłopotami uczelni i w czym Wam pomogła? Najczęściej w takich wypadkach słyszeliśmy, odpowiedź:

— Właściwie to naszą władzą nadzorną jest ministerstwo i do niego szliśmy ze wszystkimi kłopotami. A rady? Rady miały dość innych kłopotów, by jeszcze się nami zajmować. I jeśli trzeba było jakiś problem załatwić właśnie w radzie narodowej, to najczęściej droga z uczelni do rady prowadziła przez ministerstwo.

Można śmiało powiedzieć, że u bram wyższych uczelni kończyła się „strefa oddziaływania” rad, a

zaczynała się „strefa specjalna”, jakby „autonomiczna”, gdzie decydujący głos miały właśnie ministerstwa, a gdzie rady czuły się wprost niepotrzebne.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że jesteśmy rzecznikami stawiania problemu na głowie i odwracania o 180 stopni istniejącej współpracy i zależności uczelni, ministerstw i rad. I nie chodzi nam wcale o oddanie radom decydującego głosu we wszystkich sprawach wyższych uczelni. Byłoby to niesłuszne. Wysuwamy tezę inną, w myśl zasady „in medio veritas” — uczelnie muszą współpracować bezpośrednio zarówno z ministerstwami jak i z radami narodowymi. Ograniczenie tego kontaktu tylko do jednej ze stron odbija się niekorzystnie na pracy uczelni.

Ustalenie i praktyczne korzystanie z tych wzajemnych powiązań wydaje się tym bardziej konieczne, że w myśl ostatnich posunięć reorganizacyjnych wyższe uczelnie przejmują na siebie obowiązki administrowania własnymi domami akademickimi (ZOA likwiduje się) oraz własnymi stołówkami. Nakłada to na władze uczelni dodatkowe obciążenia, rozszerza zakres ich pracy i stwarza na pewno wiele dodatkowych kłopotów.

Przejdźmy teraz do przykładów, które częściowo zilustrują naszą tezę. Oprzemy się tu na dwóch największych uczelniach stołecznych: Uniwersytecie i Politechnice Warszawskiej.

Budowano na Grochowie przy ul. Kickiego nowe domy akademickie. Pomijając już sprawę niedotrzymania terminów oddania gotowych bloków oraz wiele usterek w wykonawstwie — przypomnijmy rzeczy najważniejsze. Mieszka tam przeszło półtora tysiąca młodzieży. Wznosząc tak duże osiedle akademickie „zapomniano” jednak zaplanować i urządzić tu stołówkę, salę gimnastyczną, basen czy też pływalię. Nie przewidziano budowy placu sportowego, a przynajmniej boiska do siatkówki czy koszykówki. W najbliższej okolicy nie ma sklepów z przyborami piśmiennymi, księgarni, nie ma barów mlecznych, jadłodajni. Istniejąca przy ul. Grenadierów w Domu Akade-

mickim stołówka jest przeciążona i więcej posiłków przyrządzać już nie może. Komunikacja Grochów-Sródmieście pozostawia wiele do życzenia i studenci skarżą się na wykłady i nie mogą się dostać, zwłaszcza w godzinach rannych, do przeładowanych pojazdów.

Możemy więc śmiało zapytać gospodarza terenu — Dzielnicową Radę Narodową, czy spełnia swe obowiązki? Czy zainteresowała się planami budowy tego osiedla, czy zauważyła wspomniane braki i sygnalizowała je? Czy w ogóle zna kłopoty studentów mieszkających na jej terenie? A jeśli tak, to co zrobiła, by im pomóc?

Mamy prawo przypuszczać, że na większość tych pytań odpowiedź gospodarzy terenu będzie negatywna. A przecież gdyby rada narodowa zainteresowała się tymi sprawami, co na pewno leży w jej kompetencji, wielu kłopotów można było wówczas uniknąć. Mamy tu typowy przykład tego, co nazwalimy już „strefą specjalną, autonomiczną”. Osiedle akademickie buduje ostatecznie Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, jako główny inwestor. Użytkownikiem osiedla będzie Uniwersytet Warszawski. Niech więc oni martwią się i troszcza o wszystko. My jesteśmy tu chyba zbędni, — tak zapewne wyglądał tok myśli gospodarzy tego terenu.

Druga sprawa — stołówka na terenie Uniwersytetu. Już w roku ubiegłym było tam bardzo ciasno. Z 3.500 studentów, którzy zgłosili w tym roku akademickim zapotrzebowanie na karty obiadowe — otrzymało je tylko 1500. Urządzenie nowej, przestronnej stołówki jest sprawą palącą. Mamy prawo przypuszczać, że gdyby uczelnia, wspólnie ze St. RN i z MSW, energicznie zabrała się do tej sprawy — stołówka dawno by już była czynna. A tak — sama uczelnia, czy samo ministerstwo, napotyka na trudności, często nie mogą ich przełamać i wszystko drepce w miejscu.

Podobne problemy znajdziemy i na Politechnice. Tu uczelnia czeka również na rozwiązanie palącej sprawy budowy nowych stołówek, chce urządzić nowoczesne tereny

sportowe na Polu Mokotowskim, bezskutecznie stara się zdobyć jakąś salę gimnastyczną, bo Studium Wychowania Fizycznego na uczelni „leży”, zwłaszcza zimą. Ostatnio rzucono też projekt zorganizowania lodowisk, zarówno przy uczelni, jak i przy domach akademickich.

Czy pomoc gospodarzy terenu, rad narodowych, nie jest tu potrzebna? Czy uczelnia nie powinna nawiązać ścisłego kontaktu z radą i wspólnie walczyć o załatwienie tylu ważnych spraw?

Gdybyśmy odwiedzili wszystkie po kolei uczelnie Warszawy, znalazłoby się dziesiątki różnych spraw, czekających na załatwienie, dziesiątki kłopotów, których sama uczelnia nie może usunąć. Dlatego właśnie wysuwamy nasz postulat nawiązania bardziej ścisłych kontaktów między uczelniami i radami narodowymi.

*

Istnieje pewna gwarancja, że nowe rady narodowe zbliżą się bardziej do spraw uczelni, a uczelnie do rad. Pamiętajmy bowiem, że wśród kandydatów na radnych znaleźli się ludzie związani bardzo ściśle z wyższymi szkołami — rektorzy, profesorowie, pracownicy administracyjni i studenci. Przed tymi ludźmi wyborcy postawili nie raz bardzo konkretną i szczegółową zadania. Przypomnijmy im o tym, i liczymy, że nowi radni przełamią istniejącą jeszcze w wielu wypadkach obojętność i niezrozumienie korzyści wynikających z zacieśnienia współpracy.

Czy to aż takie proste, kolego Piotrowski?

Chciałbym się trochę pokłócić z pewnymi tezami i sformułowaniami w artykule recenzji Andrzeja Piotrowskiego, zamieszczonym na łamach poprzedniego numeru POPROSTU.

Zachęcony przez autora recenzji przeczytałem „to niewielkie... nienajlepiej napisane opowiadanie (które) ma w sobie coś, czym bije na glo-

wę wiele wydanych w ostatnich latach... powieści”.

Przeczytałem i — nie znalazłem tego, co zdaniem recenzenta jest przedmiotem tematycznym „Godziny smutku” — nie znalazłem mianowicie problemu „złej miłości”. Albowiem nie znalazłem MIŁOŚCI między bohaterami opowiadania.

Ale, mój Boże, pojęcie „miłości” bardzo jest względne i ktoś to dotąd sformułował jego ostatecznie trafną definicję? Może więc dlatego, na zasadzie swoich doświadczeń życiowych, Andrzej Piotrowski odczytał w tekście „Godziny smutku”, że chodzi o miłość... Konwicz zresztą stara się to recenzentom i czytelnikom zasugerować, używając wielokrotnie tego sformułowania na określenie stosunku między Michałem Śnitką i Jadzią Lisowską.

O tym jednak, jak ja odczułem wydarzenia w tej książeczce — na końcu.

Teraz przyjmuję platformę Konwiczkiego — Piotrowskiego, że to jest przecież miłość — i ruszam do ataku.

Wspomnijmy fabułę w „Godzinie smutku”. Michał ma żonę Zosię i dwoje dzieci. Jadzia ma męża — Jerzego. Michał, pracując z Jadzią — zachowuje się w niej. Jest to uczucie silne, odważne, nieokiełbane. Ci dwoje — kochając się — nie mogą bez siebie żyć. Pryskają nici wiążące Michała z Zosią i Jadzią z Jerzym. Nici dawnych uczuć. Jest to prawo miłości, którą poznaje się po pewnych głębo- kich, nieobcych wszystkim, którzy kochali — objawach. Stało się. Żyjąc w dawnych związkach Michał i Jadzia krzywdzą nie tylko siebie. Jadzia krzywdzi Jerzego, a Michał — nie tylko Zosię. Oto w domu Śnitków, podmiowanym domu, chować się będzie dwoje dzieci — w atmosferze obcego, obojętnego stosunku wzajemnego swych rodziców. Ba! — może w atmosferze nienawiści?

Zyjemy w kraju i w czasach, kiedy samotna nawet kobieta z dziećmi nie podzieli losu „Marty”, nie będzie umierać z głodu. Tę obawę wykluczają nasze nowe warunki społeczne. Czy nie lepiej więc, jeśli pogodę, czystość życia przywrócić nowym opartym na miłości związek — Michałowi i Jadzi?

W „Godzinie smutku” tych dwoje postanawia jednak, że wróć — on do żony, ona do męża. Odbywa się na ostatnich stronach opowieści zebranie egzekutywy partyjnej, które zebranie — jak można się zorientować — „przykazuje” Michałowi i Jadzi powrót do dawnych związków,

Taki jest głos — poprzez egzekutywę — Partii.

Konwicz robi jeszcze, na samo zakończenie, unik: „Michał wyprostował się, zaczął pisać w plucu chłodnego powietrza, które powiało z ogrodu i dopiero teraz, zaskoczony, spostrzegł stojącą w drzwiach Jadzię i jej czujne, dziwne ścieśnienie oczu” — tak brzmi ostatnie zdanie utworu.

Może te „ścieśnione oczy” potwierdzają „decyzyjny” zebrania? A może sugerują, że jednak gdzieś jest jeszcze Michał z Jadzią? Trudno orzec i dlatego zwę to zdanie unikiem ze strony autora.

Za to recenzent — Andrzej Piotrowski — próbuje z nieprzejednaną powagą bieg wydarzeń w opowiadaniu. „Jak nie łatwo poradzić sobie z tą miłością — o tym dobrze wie każdy z nas”. I dalej — o kolektynie, który pomógł Michałowi i Jadzi...

Ta właśnie bezpardonowa ocena u Piotrowskiego zaskoczyła mnie przykro. Starałem się już uzasadnić, że miłość Michała i Jadzi można uznać za dobrą miłość, jeżeli, jak sam Piotrowski pisze, „ta miłość obok żrącej zgrzyoty i zmartwień daje... wiele szczęścia, pomaga... żyć, pomaga... pracować”. Tak więc rozwiązanie, jakie watek uczucia między Michałem a Jadzią znajduje w „Godzinie smutku”, można uznać za co najmniej dyskusyjne, a jak ja sądzę — po prostu krzywdzące, uproszczone.

Tymczasem Piotrowski w pełni je akceptuje. W jego wywodach usłyszałem niby echo spotykanych nie- rzadko bezdusznych poglądów na te sprawy wielu aktywistów zetem- pow- skich. I oni, i Piotrowski zastawiają się kryterium społecznym: „Czy po- maga ona (miłość) ludziom i nie tylko dwojgu ludziom”. Samo to kryte- rium jest oczywiście słuszne. Ale traci walor, jeśli go nie przymierzać wnikiwie i serdecznie do konkre- nego wypadku.

W samym tekście „Godziny smutku” odnajduję pewne, jak sądzę, uproszczenie. Na zebraniu partyj- nym Brusznicki, zbrojarz, mówi:

„Partia uczy, że wszystko, co służy w jakiś sposób człowiekowi, co mu po- maga, jest dobre i słuszne. Miłość będzie dobra, jeśli pomaga ludziom. A czy to- warzysz Śnitko może powiedzieć, że on nikogo nie krzywdzi?”

— A siebie można krzywdzić? — krzyknął nagle Michał zaschłym głosem. Zbrojarz westchnął.

— Lepiej już siebie niż kilku innych ludzi!”

To naprawdę p o z o r n a pra- wda. Konwicz w wypowiedzi zbroja- rza zupełnie omija głębię sprawy: bo i to, że nie tylko Michał krzywdzi

(Dokończenie na str. 3)

Tego dnia mieliśmy jechać do Kruji — prastarej stolicy narodowego bohatera albańskiego — Skanderbe- ga. W mieście tym można obejrzeć ruiny zamczy- ska, którego Turcy nie zdołali zdobyć w ciągu wielokrotnych szturmów. Nasz tłumacz co prawda uprzedzał, że niewiele z tych ruin pozostało, ale zawsze to przecież miejsce historyczne, a poza tym sama Kruja należy podobno do najpiękniejszych miejscowości w Albanii.

Wypadło nam jednak wyprawę do Kruji odłożyć. Na przeszkodzie stała deszcz. I tu trzeba od razu wyjaśnić, że deszcze, jakie bywają w Albanii w ciągu miesięcy zimowych, niewiele mają wspólnego z naszym pojęciem deszczu. O ile zdara się u nas latem ulewa, trwająca kilka minut, taka, że nie zostawia na nikim suchej nitki — to w Albanii „pompa” tego rodzaju może trwać kilka godzin, a nawet dni, nic nie tracąc ze swej intensywności.

Aby nie tracić przedpołudnia, skorzystaliśmy z propozycji zwie- dzenia w Tiranie Politechniki i Wyższej Szkoły Rolniczej. Tak więc zamiast w przeszłość — odbyliśmy wycieczkę w przyszłość Albanii.

Obie uczelnie znajdują się na skraju miasta, w mało zabudowa- nej dzielnicy, nadającej się znakomicie na miasteczko akademickie. Nasi gospodarze informują, że takie właśnie miasteczko tu powsta- nie.

Ze zwrotem tym — powstanie, zbuduje się, wzniesie — spotykali- śmy się przez cały czas zwiedzania obu zakładów naukowych. Większość budynków jeszcze w budowie, większość sal dopiero się urządza, większości pomocy naukowych jeszcze nie ma na miejscu — taki był ogólny obraz organizujących się uczelni. Wykłady jednak już się od-

Uczelni Tirany

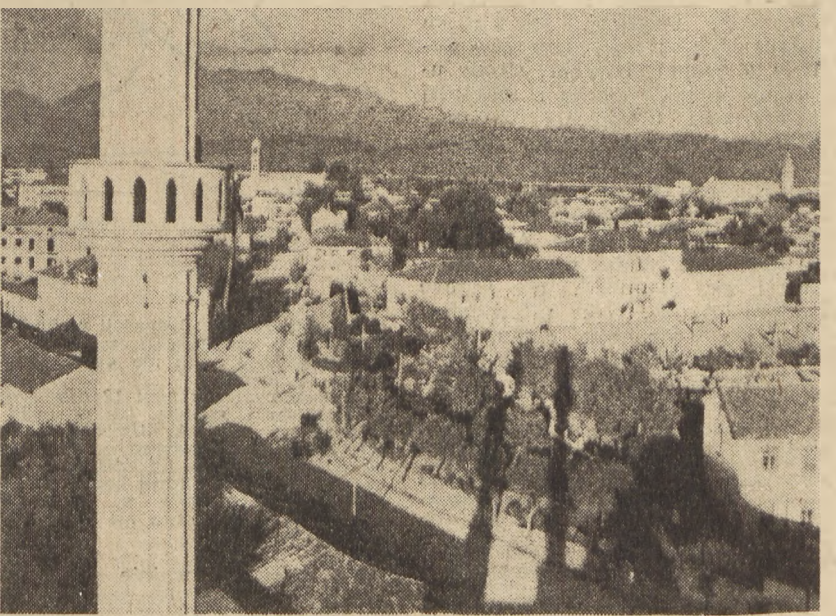
bywały, w pracowniach trwały za- jęcia; widać było, że i wykładowcom i słuchaczom niesłychanie za- leży na czasie.

A do nadrobienia mają wiele, nie- zwykłe wiele.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że w przedwojennej Albanii 85% mieszkańców nie umiało czytać ani pisać. Natomiast mniej znane jest następujące, niezwykle charaktery- styczne wydarzenie. W roku 1935, za rządów „króla” Ahmeta Zogu,

podczas debaty nad budżetem wy- stąpił minister Fajzi Alizoti oświad- czając, że wydatki na oświatę moż- na jeszcze bardziej ograniczyć, albowiem w Albanii istnieje... nadpro- dukcja inteligencji. W tym czasie szkoły średnie w całej Albanii ko- ńczyło 100—150 osób rocznie.

Po drugiej wojnie światowej Al- bania była nie tylko jedynym w Europie państwem bez linii kolejowy- ch. Była także jedynym pań- stwem bez uczelni akademickich.



Tirana — miasto 5 szkół wyższych.

(Dokończenie na str. 2)



Dr. Czetwertyński, profesor Politechniki Warszawskiej, wybitny specjalista w dziedzinie gospodarki wodnej, został wysunięty jako kandydat na radnego do Stołecznej Rady Narodowej m. Warszawy. Na zdjęciu: prof. Czetwertyński w rozmowie ze studentami.

Studenci! Już za tydzień — wybory!

W dniu 5 grudnia br. każdy z nas stanie przed urną, by jako oby- wateł Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej złożyć swój głos w wybo- rach do rad narodowych. Zaszczepione prawo głosowania jest jednym z przejawów naszego udziału we współgospodarzeniu krajem. A być gospodarzem — to wielki i odpowiedzialny obowiązek codziennej ak- tywnej walki i pracy.

KOLEŻANKO I KOLEGO!

Twój zadaniem jako współgospodarza kraju jest:

- stać się doskonałym specjalistą nowego typu
- być agitatorom idei Frontu Narodowego w swoim domu i środowisku — agitatorom nie tylko w słowie, ale i w czy- nie.
- do głębi zrozumieć rolę rad narodowych — organów lu- dowładztwa w naszym kraju, uczestniczyć aktywnie we współrządzeniu ojczyzny.
- A więc, Koleżanki i Koleżdy, wykorzystajmy w pełni ostatnie dni kampanii wyborczej do rad narodowych.
- organizujmy podczas spotkań z kandydatami na rad- nych odczyty i dyskusje związane tematycznie z kierun- kiem studiów.
- prawnicy — dyskutujcie o zagadnieniach pracy rad narodowych nad umocnieniem ludowej praworządności!
- poloniści — rozpatrujcie problemy oświaty i kultury!
- agronomowie — analizujcie możliwości jakie stoją przed radami narodowymi w dziedzinie rozwoju produkcji rolnej!
- rozwijajmy w grupach i w radiowęzłach dyskusję o znaczeniu i zadaniach rad narodowych,
- wyjeżdżajmy na wieś z ekipami łączności, pomagajmy ludności wsi w przeprowadzaniu zebrań wyborczych, wyjaśniajmy ordynację wyborczą, popularyzujmy ideę Fron- tu Narodowego,
- organizujmy wieczornice taneczne i występy zespołów artystycznych na cześć wielkiego ogólnonarodowego święta — wyborów do rad narodowych!

Autorzy uchwał paryskich nie mogą z tych faktów nie zdawać sobie sprawy. Ludzą się oni jed-

Herbatka

Zaledwie dwa dni dzieliły Teofila od herbatki u Artystki, gdy w hallu Domu ukazało się ogłoszenie, zawiadamiające o zebraniu mieszkańców zwołanym przez kierownictwo „Ursusa”. Plakat zapowiadał udział przedstawicieli dyrekcji, partii, rady zakładowej... Zarówno w Domu jak i w zakładzie mówiono powszechnie o tym zebraniu. „A o czym będzie?” — pytano. „Podobno mają omawiać pracę kierownika Domu. Samorząd mają stworzyć”. „Tyle czasu jesteś tutaj i dopiero teraz samorząd mają stworzyć?”. „No tak, oficjalnie to nas nawet jeszcze nie witano w tym Domu”. „A wtedy?” „Co, wtedy?” „No, wtedy, co to przyszli”. „Ili pieprzysz. Przyszli i poszli. Nie pamiętasz to, jak było?” „Ktoś wtrącił: „Teraz to myślisz, że im się uda”. „A co ma się nie udać?” — odpisał inny. „Chcę z nami pogadać jak z ludźmi, to co? Mają do ślany przemawiać?”

— A kolega przyjdzie? — zapytano Teofila, ale ten nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Nad czym kolega się zastanawia. Przecież mieszkacie w naszym Domu.

— A tak, tak, tylko że w tym czasie mam jeszcze inne zajęcia.

— Jakie zajęcia? W sobotę po południu?

Teofil zbliżył się do Teofila, a o siódmej, kiedy w świetlicy Domu Młodego Robotnika zbierali się chłopcy, Teofil pukał do drzwi mieszkania przy ulicy Słonecznej.

Domek był niewielki, parterowy, otoczony ogródkiem o bujnej zieleni: przez mglenie zapachniało rodzinnym, wiejskim domem, wsią, polami.

Otworzywszy drzwi znalazł się w niewielkim, słabo oświetlonym przedpokoju, ciastnym, zastawionym jakimś gratami. Ledwie się w nim rozejrzył, gdy dobiegł go gwar głosów, śmiechy: poznał donośny, górujący nad innymi, rozbawiony głos Artystki. Otworzył drzwi i znalazł się w jasno oświetlonym pokoju ujrzał nagle Krzywą Szyję, Małaszkę, Jędrzejka. Chłopcy stali, a wokół stołu siedzieli trzy kobiety: Artystka, jakaś starsza kobieta z loczkiem na czole, a tuż obok niej młoda dziewczyna, uderzająca podobno do kobiety z loczkiem. Artystka przedstawiła przybyłemu:

— To moja mamusia, moja siostrzyczka, Ania, a kolegów chyba znacie, nie? — Odsapnęła. — A ja — wskazała na siebie — to jestem właśnie ja. — Wybuchnęła sztucznie śmiechem.

Teofil witał się ze wszystkimi po kolei: obojętnie, gdy podawał rękę nieznannej kobiecie i nieznannej siostrze Artystki, z obawą, gdy zwracał się ku swym kolegom, poznanym pierwszego wieczoru w Domu. Teraz stanął twarzą w twarz z Krzywą Szyją i jego kompanią, „Ze też ich musiałam zaprosić — pomyślał gniewnie — moiś prześladowców, a zwłaszcza herszta tego pokoju — Krzywą Szyję”.

Dopiero teraz Artystka przypomniała Teofilowi, jak się Krzywa Szyja właściwie nazywa: zwracając się do niego, mówiła: kolego Ratyniak.

— My się znamy — rzekł opryskliwie Krzywa Szyja i spojrzal nieprzyjaźnie na przybyłego.

— Tak? To dobrze. Tak też myślałam. Siadajcie, kolezdy.

Rozejrzała się po pokoju i wiele zaafektowana wykrzyknęła: mamusiu, co my zrobimy? Brak nam trzech krzeseł! — Artystka była szczerze zmartwiona.

— Trzech tylko? — To nieźle — powiedziała wzruszając ramionami matka Artystki. Stała przy stole i wprawna, uzbrojona w noż dłoń kroiła kiebasę. Obok leżał bochenek chleba, na talerzyku Teofil ujrzał ogórki, pomidory, rzodkiewki. — Co tam dla młodych mężczyzn trzy krzeseł! — powiedziała po chwili matka Artystki. I jakby sprawa już była załatwiona, sięgnęła po stojącą na oknie butelkę. Odwróciła ją dnem do góry i przglądając ją ciekawie spływającej po jej dno kropelki, rzekła: — Świetna wódka, dobrze retyfikowana, nie ma co.

Chłopcy milczeli, spoglądając na siebie spode łba.

— Co będzie? — znów zapytała Artystka. — Na czym usiądęmy? Krzywa Szyja zwrócił się do swych kolegów.

— No co? Kto skoczy po trzy krzeseł? — Pośpiesznie ominął wzrokiem Teofila, który poczuł się nieswojo. Nie tylko dlatego, że znalazł się twarzą w twarz ze swoimi prześladowcami; żenowała go obecność tej starszej kobiety, która zdawała się być ubawiona zarówno towarzystwem, jak i rolą gospodyni, jaka jej przypadała.

— No, to czekajcie, ja skoczę — powiedział Krzywa Szyja. — Za pięć minut wrócę, a wy szkujcie. — Kto pomoże? — Matka Artystki sięgnęła po chleb i już podawała noż.

— Ania — zawyrokowała Artystka. — Mamusiu, nie wypada obarczać gości. I tak dość ich męcza

i obciążają różnymi obowiązkami. — Mówiąc to nie spuszczała wzroku z Teofila.

— Tak, rzeczywiście, masz rację córeczko. Młodziś ma dziś tyle obowiązków — westchnęła. — Kiedyś inaczej było. Po pracy to młody człowiek mógł się zabawieć, potańczyć, a dziś? Nie będe was fatygowała, kochani.

W przedpokoju rozległy się czyjeś kroki. Teofil usłyszał podejrzany loskot, a po chwili ukazał się w otwartych drzwiach Krzywa Szyja. Był zaspany, z trudem dźwigał trzy krzeseł.

— Jak prędko!

— Aha, rzeczywiście, prędko.

— A jak tam zebranie? — zapytała Artystka.

— Zebranie? — Krzywa Szyja ustawiał krzesła wokół stołu. — Zebranie — uśmiechnął się i rozwarł dłońmi poprawił niesforne opadające włosy — odbywa się zgodnie z ustalonym porządkiem dziennym. Jak ta lala.

— To i my chyba zaczniemy, nie? — Matka Artystki wyćierała ręce. — Siadajcie, prosimy. Człowiek chciałby porozmawiać inteligentnie, w towarzystwie, ale cały tydzień nie ma czasu. Tylko w sobotę, jak wcześniej skończyć pracę w tym PSS, to mogę jeszcze żyć jak człowiek. — Loczek chwiał się i drgał, Teofil wodził za nim przez chwilę wzrokiem, ale wydało mu się, że oczy, między którymi skakał ów loczek, bystro na niego patrzy, więc odwrócił głowę. Matka Artystki podniosła kieliszek. Wypili.

— Pan, zdaje się, niedawno w Ursusie, prawda? — spytała matka Artystki.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

— Mamusiu — przerwała Artystka i wstała — jakaś ty niedelikatna.

— Niedawno. — Teofilowi zrobiło się gorąco. Tamte oczy nie omijały go, nie chybiały, mierzyły prosto w niego. A tuż obok siedział Krzywa Szyja i gdy matka Artystki wypowiedziała słowo „niedawno”, znów zjawił się w pamięci Teofila pierwszy wieczór spędzony w pokoju Krzywej Szyi. Gdyby wiedział, że oni wszyscy tu będą, nie przyszedłby. Na pewno. Matka Artystki już pytała:

— A skąd?

Teofil zaczerpnął się. Czuli na sobie wzrok Artystki. „Pewnie słyszała” — pomyślał. Wypił i siedział markotny, osamotniony. „Zebny tylko znów nie było na mnie”. Teraz przypomniał sobie Szafrankę i jego ostrzeżenie udzielone mu wówczas, gdy go wyciągnął z pijackiego pokoju. Uniósł głowę i milcząc przyglądał się towarzystwu. Nagle ogarnęła go żalost. Przez chwilę siostra Artystki wydawała mu się uderzająco podobna do Marysi. Skłoniła głowę i uniósła dłoń, jak to zwykła była czynić Marysia; nawet uśmiech zdawał się być ten sam. Lecz wówczas przypomniał sobie, że ostatnio Marysia w ogóle się nie uśmiechała. Gdzież ona jest teraz?

Ktoś zapukał. W drzwiach ukazał się człowiek o uśmiechniętej twarzy, siwy, rumiany. Już był w pokoju. Krążył po nim tanczącym krokiem, drobny i skoczny z żarzem. Stał przed każdym z obecnych, składał ukłon i oto już był przy następnej osobie. Skłonił się również głęboko Teofilowi.

Paniusi laskawa — zwrócił się przybyły do matki Artystki. — Paniusi laskawa, piękna, słodka, wymarzona, czy mogę zabrać moją umiłowaną? — Trwał przez chwilę w ukłonie, uśmiechnięty, uniżony.

Matka Artystki odpowiedziała uśmiechem, który nie zniknął. Już stała u drzwi wiodących do sąsiedniego pokoju i czekając, aż przybyły skończy swą przemowę, trzymała rękę uniesioną gestem wieszczyki czekającej na głosy niebios. Gdy przybyły zamilkł, zniknęła na chwilę w sąsiednim pokoju, po czym wkroczyła trzymając w dłoni jakiś zawiniątko kształtem przypominające butelkę.

Z podziękowaniem — człowiek ów ogłosił się kłaniał. Obracał się jak figurka wokół niewidzialnej osi. Nagłym zwrotem skierował się ku oknu i złożył na parapiecie jakiś banknot. Wychodząc, jeszcze w drzwiach się kłaniał. Przez chwilę panowała cisza, niebawem zebrani znów się ożyli. Najgłośniejsi mówili Artystka:

— Posłabym do kina, na zabawę, nawet gdyby była w waszej świetlicy, ale na zebranie! Brrr — otrząsnęła się i powtórzyła — brrr.

— Ach, tak! — Matka Artystki się roześmiała. — To zabawne, to strasznie zabawne. Jak się te czasy zmieniają. Jak dziś ludzie inaczej mówią. A jakie piosenki śpiewają. Jakże nieinteligentne. Kiedyś to się śpiewało, ach! — Pokiwała głową. — Zanuć, zanuć mamusiu!

Nie dając się długo prosić zaczęła:

Na Czarniakowskiej, Górnej,

na Woooli...

Nuciła cicho, z przejęciem, zdawało się, że nikogo wokół nie widzi. Trwała tak zasłuchana w tym.

— Jak się czasy zmieniają — rzekła przerywając śpiew, — Kiedy bylam mała, to śpiewałam taką piosenkę, której wy na pewno nie znacie. Jaka zabawna! Posłuchajcie:

Stara baba z kałdunem,

chciała latać baluunem,

ale balun miał dziurę,

nie chciał biał wzięć w górę...

Zebrani śmiali się, matka Artystki sięgnęła po opróżnioną butelkę i przechylając ją, przyglądała się jej z uwagą. Mrużyła oczy, jakby pragnęła tajemną siłą swego spojrzenia sprawić, aby dno zamieniło się w żródełko tryskające wodką. Krzywa Szyja utkwiał wzrok w Teofilu i nie spuszczał z niego oczu powiedział:

— Prosimy o jeszcze jedną butelkę. — I nie wiadomo dlaczego popatrzył przy tym porozumiewawczo na Teofila. Matka Artystki już zniknęła w drugim pokoju, wróciła i postawiła na stole butelkę wódki. Napelniła kieliszki: — Pijmy...

— Zdrowie! Zdrowie! Zdrowie!

— Zdrowia i pieniędzy — zawyrokowała Artystka — to najważniejsze.

— A skąd ty wiesz, dziecińco? — zapytała matka. — Skąd ty możesz wiedzieć, co najważniejsze? Coś ty widziała już w swoim życiu? Nic. Chodź do fabryki, mury z ciebie zdrowie wysysają, świata nie widzisz, skąd ty wiesz, co to jest życie, dziecko ty moje! — Wyciągnęła tłuste ramiona, chcąc nimi objąć córkę siedzącą naprzeciwko. Głowa jej opadała i loczek chwiał się zabawnie. — Nic nie widziałaś, bo co was czeka dzisiaj, młodzi! — ciągnęła dalej. — Ale ja? — Uniósła jedną dłoń. — Człowiek miał aspiracje, marzenia, przyszłość! A was co czeka? Jeszcze jedna norma i jeszcze jedna narada, ach, wy biedne moje!

— A ja mówię, że zdrowie i pieniądze to najważniejsze — powtórzyła Artystka. Nagle zwróciła się do Teofila. — Pan! jest zdrow? — Porzuciła słowo „kolega” i przeszła na „pan”. Teofil przytaknął — uświadomił sobie, że musi bardzo głucho uśmiechać się i jednocześnie pomyślał: „dobrze ci tak, po coś się tu pchał, po co?”

— A pieniądze? — indagowała Artystka zmierzając do czegoś. — Pieniądze pan nie ma? — Teofil chciał coś odpowiedzieć, lecz ona już ciągnęła dalej. — Skądże pan może mieć pieniądze, skoro — Artystka uniósła dłoń, wyprostowała wszystkie palce, po czym zgięła jeden — raz: na przyuczeniu jest pan u kobiety, dwa: — zgięła drugi palec — skoro ta kobieta wyreca się panem, i trzy: — zgięła trzeci palec — pan zdiera za kogoś nogi!

Teofila oblał rumieniem wstyd. Patrzył na Artystkę, ale tylko dlatego, aby nie patrzeć na kogoś innego. Nie spuszczał z niej wzroku i czuł, że zebrani, usłyszawszy tyle ciekawych rzeczy o nim, śmieją się z niego tłumionym chichotem, zjadliwym i pogardliwym żarzem. Nie poznał po głosie, kto nagle w ciszę rzucił znowu słowo: — Moskisko!

Na dźwięk tego słowa zerwała się matka Artystki.

— Jakże można tak? Kto tak postępuje? — Teofil ujrzał z bliska jej tłustą twarz, na policzku poczuł dotknięcie loczka. Matka Artystki objęła go ramieniem, jakby chroniła przed napastą. — Nie można tak, panowie, kto to tak postępuje? — Nie czekając odpowiedzi pytała dalej: — Kto tak dręczy pana Teofila?

— Kto? Zetempowska agitorka! Wiedźma! — Krzyknęła Artystka.

— A dlaczego pan pozwala tak sobą pomiatać?

— Już otwierał usta, by zawołać: — Ona mną nie pomiata! Ja ją kocham, kocham! Ale Artystka już wtrąciła:

— Bo zakochany!

— Ach! — Matka Artystki klasnęła w dłonie. — Och, ach, zakochany! Co za piękne uczucie, jakie wzniesie, jakie cudne, ach, ach! — Powoli wstawała z krzesła, uniósł głowę. Przez chwilę trwała tak wpatrzona w sufit.

— Zaczyna się — szepnął Krzywa Szyja i pochyliwszy się mówił do Małaszkę.

— Cholera, wiecznie odstawia ten sam numer.

Tamta już nuciła:

Czar miłości lśni

w mej duszy,

gdy jesteś ty,

podniosła głowę:

me serce drży,

najdroższy, ty,

— Czar miłości lśni

w mej duszy,

gdy jesteś ty,

podniosła głowę:

me serce drży,

najdroższy, ty,

— Czar miłości lśni

w mej duszy,

gdy jesteś ty,

P R Ó B A

1. POSTAĆ, KTÓRA SIĘ LICZY

Teorocznice „Dni Filmu Polskiego” zarówno nowymi tytułami filmowymi jak i rocznicą dziesięciolecia istnienia polskiej kinematografii, stwarzają okazję do snucia refleksji na temat przeszłości i przyszłości naszego filmu. Nienotowane dotąd ożywienie i wrzawa prasowa spowodowane dysproporcjami w wartościach poszczególnych filmów, próby podjęcia dyskusji problemowej nad dotychczasową historią kinematografii, składają na wyciągnięcia jakichś nauk historycznych.

Jesteśmy obecnie świadkami i współuczestnikami powszechnego, teoretyczno-krytycznego ruchu, obejmującego ogół spraw dotyczących sztuki, ruchu, który szuka form ściślejszego powiązania sztuki z potrzebami socjalistycznego społeczeństwa. Na naszym podwórku bodaj najciekawsza pod tym względem była dyskusja z okazji IV Ogólnopolskiej Wystawy Plastyków. Również i wśród filmowców spory nabrały cech bardziej wojowniczych, chociaż pod obstrzał wzięto, jak na razie, marginalne pozycje dorobku naszej kinematografii, tak jak: „Niedaleko Warszawy” i „Pościg”. Niestety w dotychczasowej publicystyce filmowej nie doczekaliśmy się jednak próby uogólnienia i oceny całokształtu naszej twórczości filmowej.

W tej sprawie nikt nie zajął zdecydowanego stanowiska i być może postawa taka jest w jakimś stopniu uzasadniona. Trudno bowiem dopatrzyć się w minionym dziesięcioleciu czegoś więcej niż kilku tytułów filmów i — praktycznie rzecz biorąc — nazwiska jednego realizatora — Aleksandra Forda. Ale ta uzasadniona dezynwoltura naszych krytyków jest równocześnie ich słabością. Nie będzie bowiem zbyt śmiało przypuszczenie, że przyszli historycy kina (na ich naradzinie ciągle czekamy) będą nazywać ten etap rozwoju naszej kinematografii — „okresem Forda”.

Próbnym wartościowaniem poglądów na polską sztukę filmową, okazją do zmierzania odczyt i wytyczenia przyszłej drogi jest dotychczasowa twórczość Aleksandra Forda. Artystyczną wartość swych dzieł, światopoglądem estetycznym, (zn. poglądem na charakter sztuki) filmowej, reż. Ford zadecydował o tym, czym był nasz film w okresie lat 1944—1954. Oznacza to, że reż. Ford był jedynym twórcą o własnej postawie filozoficznej, wielającym się postawę konsekwentnie w artystyczny kształt swych filmów.

2. HISTORIOZOFIA CZY SZUKA?

Znamy w historii okresy, w których tworzył się typ sztuki monumentalnej, wyrażającej wielkość i bohaterstwo klasy zdobywającej znaczenie historyczne. Taką sztuką było malarstwo Davida. Można by je określić jako sztukę „wysokiego tonu”. Drapowanie bohaterów, ilustrowanie ideałów współczesności wielkimi historycznymi alegoriami, wynikało z daleko idącej idealizacji życia, potrzebnej twórcy do osiągnięcia postulatowanego celu wychowawczego.

SYNTEZY

zgoła jaskrawy w ostatnim dziele tego reżysera — w „Piątce z ulicy Barskiej”. Ford miał do dyspozycji gotowy materiał literacki (książka K. Koźniewskiego), będący samodzielnym tworem artystycznym. W ten sposób pole do wykazania inwencji reżyserskiej, przez którą rozumiemy interpretację gotowego tekstu literackiego, rozszerzyło się znacznie w porównaniu z wcześniejszą „Młodością Chopina”. Nie obarczony balastem kształtowania tworzywa literackiego, Ford zachował świeżość spojrzenia i działania wobec materiału scenariuszowego.

W efekcie to, co zobaczyliśmy na ekranie, jest bardziej dziełem Forda — reżysera, aniżeli innego filmowca. Widząc na ekranie wszystkie poczynania reżysera w stosunku do tekstu literackiego, a mianowicie: selekcję materiału oraz przeniesienie akcentów z jednych scen na inne, mamy większy, aniżeli dotąd, sprawdzian artystycznej filozofii i praktyki Forda.

Owa sprawdzalność spotęgowana została nadto tym, że „Piątka z ulicy Barskiej” jest filmem współczesnym. Temat współczesny ma zawsze to do siebie, że ujawnia namacalnie światopogląd i metodę artysty. Możemy bowiem wtedy ocenić materiał dostarczony przez życie i wykazać stopień jego wykorzystania w filmie.

Z grubsza rzecz biorąc, istnieją dwa sposoby artystycznego formowania materiału życiowego. Jeden kształtuje obrazy na podstawie obserwacji życia i z nich wywodzi końcową tezę. Drugi zaś wykorzystuje obserwację dla ilustrowania z góry założonej myśli, przy czym obserwacja stanowią w tym wypadku czynnik wtórny.

W tegorocznej dyskusji na temat filmu „Piątka z ulicy Barskiej” Zygmunta Kalużyńskiego wyraził trafne spostrzeżenie, że reżyser Ford przywiązuje zbyt nikłą wagę do obserwacji. Potwierdzenie tego spostrzeżenia znajdujemy w porównaniu materiału zawartego w literackim raporcie K. Koźniewskiego — z treścią filmu. Koźniewski w swojej książce zaledwie odnotowuje fakty, nie starając się ich pogłębić. Ford natomiast traktuje obserwację jako pretekst do wypowiedzenia swoich myśli na temat podjętego w książce problemu. W ten sposób fakty, konkretne przejawy życia, stanowią tylko punkt wyjścia do założonej a priori konstrukcji myślowej.

I tak np. fragizm losu Kazka, który mógłby wynikać z przeprowadzenia go przez zwykłe życiowo sprawdzalne zdarzenie, został zastąpiony wyegzaltowaniem bohatera, zmierzającym do zwrócenia uwagi widza na przedstawiony w losie Kazka problem społeczny. Dla tych samych motywów umieszcza autor pozostałych bohaterów na tle wielkiej budowl, której patos im się udziela. Ta sama wielka budowla dostarcza niemal jedynych realiów, pozwalających odczytać czas i miejsce rozgrywania się akcji filmu.

Rezultatem aprioryczności i pomijania obserwacji w metodzie twórczej stosowanej przez Forda jest szczególnie postać Hanki. Pozbawiona istotniejszych cech osobistych, jest ona prawie wyłącznie nosicielką idei i wyobrażeń autora, który za jej pomocą realizuje swój postulat wychowawczy.

Teofil czuł na twarzy gorący oddech Krzywej Szyi, cuchnący wodką, odorem papierosów.

— Ja nic nie wiem — próbował się bronić.

— Jak to nie wiesz? A wodkę kto zamawiał? Ja, czy ty?

— Ja nie wiem.

— Słuchaj — Krzywa Szyja przysunął się jeszcze bliżej — pierwszą butelkę i zakąski myśmy placili, ale druga to ty stawiasz, rozumiesz? — Pchnął go od siebie i dorzucił: — Moskisko! Skąd masz wiedzieć. Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie zapłacisz. Ty mnie już drugi raz chcesz wykirować, ale skończyło się babci wesele. — Obrócił nim i skierował ku drzwiom wiodącemu do mieszkania.

Znow się znaleźli w oświetlonym pokoju. Matka i córka zdawały się nie spostrzegać ani zniknięcia, ani pojawienia się obu chłopców.

Teofil wzburzony usiadł. Naprzeciwko znalazł się Krzywa Szyja, przyglądający mu się z napięciem.

— Już pójdę — powiedział Teofil.

— Już? — Kobiety się zdziwiły. — Już? Przecież wcześniej jeszcze. Zebrań na pewno nie jeszcze nie skończyło.

— Już muszę.

— Jeżeli pan musi, to nie zatrzymuję — rzekła Artystka. Głos jej był oschły. Matka siedziała nadąsana.

— Tak, pójdę. — Wstał i podszedł do stołu w pobliżu okna. Wyjął z portfeli pięćdziesiąt złotych. — Dziękuję.

Chwiał się lekko, krążył po pokoju i żegnał się z obcymi. Podął również rękę Krzywej Szyi. Nie

Powyższe refleksje uprawniają do stwierdzenia, że sztuka filmowa Aleksandra Forda w dziesięciolecie była sztuką obliczoną przede wszystkim na aktywne, natychmiastowe oddziaływanie na życie i społeczeństwo. Przy czym była sztuką, która pragnie więcej kształtować życie, a mniej z niego czerpać. Ta okoliczność doprowadza do jednostronności tej sztuki, do tego, że nie jest ona w stanie wyrazić pełnej prawdy o naszym życiu.

Jeśli uwznioślona sztuka pseudoklasyzmu davidowskiego, prócz funkcji agitacyjnej spełnia zarazem zadanie zastąpienia prawdziwego oblicza mieszczaństwa, to w sztuce epoki socjalizmu nie musimy uciekać się do uwznioślania, gdyż prawda śwadeży korzystniej o nas, niż wszelka idealizacja.

3. KTO TAK SZUKA — TEN NIE ZNAJDZIE.

Na odbytej niedawno naradzie sekcji filmowej SPATiF, Ford odcinając się od groźby kopiowania zdobyczy neorealizmu włoskiego, wskazywał na potrzebę poszukiwań narodowego stylu filmu polskiego w narodowym dziedzictwie kulturalnym.

Słusznie reżyser Ford przestrzega przed kopiowaniem neorealizmu włoskiego i dosłownego przenoszenia go na nasz rodzimy grunt, choć z drugiej strony nie istnieje realna groźba tego rodzaju. Trudno też odmówić mu racji i nie potwierdzić ambicji świadomego współudziału w kształtowaniu narodowego stylu kinematografii polskiej.

Nieporozumieniem jednak wydaje się sposób, w jaki Ford postuluje utworzenie tego stylu. Styl narodowy sztuki powstaje bowiem w rezultacie długotrwałego procesu historycznego, przy czym składa się nań wiele czynników, nie zawsze poddających się kontroli. Powstaje on zresztą nie tylko z dziedzictwa kulturalnego, ale z żywego i bliskiego kontaktu sztuki z życiem narodu.

Monumentalny charakter sztuki uprawianej przez Forda nie sprzyja temu bliższemu kontaktowi. To też ograniczenie poszukiwań stylu do sfery dziedzictwa kultury nie może przynieść pozytywnego rezultatu. Wydaje się, że wysiłki podjęte przez Forda zmierzają raczej do poszukiwania uzasadnień dla swojej metody twórczej.

Tak czy inaczej, obrana droga nie doprowadzi sztuki filmowej Forda do obieg narodowego stylu ludowej kinematografii.

Kto tak szuka — nie znajdzie.

4. CZY ZMIANA WARTY?

Spór o typ nowej sztuki filmowej nie może być i nie jest rozwiązywany wyłącznie w sferze teoretycznych rozważań, bo i tak jak dla każdego wielkiego zjawiska historycznego rozstrzygnięcie następuje w praktycznej działalności.

Rozstrzygnięcie to musi nastąpić z dwóch powodów: po pierwsze z powodu wzrastających potrzeb kulturalnych społeczeństwa, po drugie z nagromadzenia osiągnięć i doświadczeń samych twórców filmowych.

Zwykły człowiek, powszechny odbiorca naszych filmów, domaga się sztuki filmowej, która będzie bliska jego uczuciom i przeżyciom, jego radościom i smułkom — jego codziennym doświadczeniom. Poszukuje on sztuki, w której mógłby odnaleźć siebie,

gdyż wielkość i bohaterstwo obywatela naszego kraju wypływają z wysiłku dnia codziennego.

Dzisiejszemu widzowi nie wystarcza już ukazywanie ideałów. Chciałby on widzieć, jakie wartości tkwią w nim samym i w jego życiu. Sztuka monumentalna, rozwiązując najogólniejsze zagadnienia, częstokroć nie dociera do odbiorcy, który nie zawsze potrafi odnaleźć związki zachodzące między powszechnymi ideałami, a jego jednostkowym losem. Konieczność zbliżenia sztuki do potrzeb odbiorcy powoduje nieprzydatność sztuki monumentalno-patetycznej, która straciła swoje dotychczasowe historyczne powołanie.

Z drugiej strony — pojawiają się coraz liczniej młodzi twórcy, czerpiący treści swoich filmów z poszukiwań za wiernością w stosunku do praw odkrywanych w toku obserwacji zwykłego życia. Dostrzegają oni piękno i wielkość naszego życia w jego najprostszyc i powszechnie sprawdzalnych przejawach. Rezultaty zamierzeń tych twórców i ich odkryć wynikają z zapłodnienia ich twórczej inwencji przez samo życie.

Zeprezentowane z okazji dni polskiej kinematografii filmy „Celuloza” i „Pod gwiazdą frygijską” Kawalerowicza i „Gwiazdy muszą płonąć” Munka i Lesiewicza oraz bliski ukończenia film A. Wajdy „Pokolenie”, zrealizowane zostały w atmosferze ruchu walczącego o zbliżenie sztuki z życiem, są dowodem skuteczności poszukiwań młodych twórców filmowych, prostoty w wyrażaniu prawdy o życiu ludzi naszego kraju i jego historii.

Obecna postawa młodych ma za sobą tradycję i doświadczenia przede wszystkim filmu radzieckiego lat trzydziestych. Dla naszych młodych filmowców może najbliższy ze względu na charakter swych filmów być Gierasimow, który w przeciwieństwie do monumentalistów Człaurowie czy Michała Roma, we wszystkich swoich filmach powstałych od 1931 do 1948 roku, szczególnie zaś w „Nauczycielu”, „Komsomolsku” (polski tytuł: „Miasto młodzieży”), dążył do przedstawiania zalet moralnych prostych ludzi radzieckich. Niewątpliwie oddziaływuje też pozytywnie na młodych twórców wpływ tzw. szkoły włoskiej (patrz artykuł K. T. Toeplitza pt. „Pochwała nieuctwa” zamieszczony w „Nowej Kulturze” z dn. 14.XI. 54 r.).

Fakt pojawienia się szeregu młodych twórców filmowych nie jest żadną rewelacją. Spory, podobne do tego, który wzniesli oni swymi dziełami, miały niejednokrotnie miejsce w dziejach sztuki, ilekroć tylko ścierały się ze sobą różne postawy twórcze. Obumieranie pewnych postaw wyznacza koniec okresów historycznych. I chociaż trudno określić ściśłą datę zakończenia pewnego okresu historycznego, a już wprost śmieszne byłoby zamykać taki etap jakkolwiek rocznicą, to tegoroczny obchód dziesięciolecia polskiej kinematografii, głównie dzięki wystąpieniu młodych twórców, których dążenia mają szansę przekształcenia się w program artystyczny — może faktycznie stać się zamknięciem jednego i otwarciem kolejnego okresu w historii polskiego filmu. Być może tym samym staliśmy się nieświadomymi na razie obserwatorami dokonującej się zmiany warty.

JAN KRAFFT



Scena z filmu „Pod frygijską gwiazdą”.

ANDRZEJ WLADYSŁAW KRAL

W teatrze zbudowanym TUŻ NAD ODRA

Piękne wnętrza Opolskiego Teatru, położonego w głównym punkcie miasta, ale troszkę z boku, nad samą Odrą. Próba „Drogi do Czarnolasu”. Na scenie stoi dekoracja trzeciego aktu i przez trzy przestoje godziny nie wchodzi na nią aktorzy. Cóż to za próba? — pytaście. Reżyser Krystyna Skuszanka i scenograf Józef Szajna naradzają się, przechodzą w różne miejsca na widowni i głośno wołają w kierunku sceny. Odbywa się jedna z prób technicznych — próba światła. Scenograf i reżyser „malują” światłami ustawioną dekorację, która stopniowo zaczyna grać, pięknie, ożywia się. W zwykłym świetle jest bardzo nieciekawa, po prostu brzydka. Pamiętajcie, co pisał Mieczysław Stoor o swej pracy w Teatrze Rzeszowskim? Reżyser ledwo szcikał tam sytuację. Na więcej nie miał czasu. W Opolu pierwsza orientacyjna próba światła jednego obrazu sztuki trwa trzy i pół godziny. Niesłuchanie ambitny i pracowity jest młody Teatr Opolski, kierowany przez młodego reżysera, Krystynę Skuszanke. Oczywiście nie każde przedstawienie staje się wydarzeniem. Nie było i nie ma tak znakomitego teatru na świecie, który nie miałby pozycji lepszych i gorszych. Rzecz w tym, aby dobre, rzetelne pozycje zjawiały się systematycznie i tworzyły złotą serię osiągnięć, znaczącą rozwój teatru. Do tego trzeba dążyć. O to walczyć. Na pewno były w Opolu na przestrzeni dwóch ostatnich lat (odtąd datuje się „odnawianie” tego teatru) przedstawienia nawet z różnych przyczyn „puszczone”. Ale jest tu ów ciąg pięknych, ambitnych osiągnięć znaczący inscenizacjami „Sztormu”, „Miarki za miarkę”, „Meża i żony”, „Młodej Gwardii”, „Legendy o miłości”, „Igraszek z diabłem”, jednoakto-

wek Czechowa. — Chcemy jak najstarszemu, najprecyzyjniej — wykonać nasze przedstawienia pod względem inscenizacyjnym i reżyserskim. Gorzej jest, zwłaszcza ostatnio, ze sprawami aktorskimi — powiedziała mi Skuszanka. Spróbujmy rozszyfrować te słowa, bo w nich kryją się wszystkie palące problemy Opolskiego Teatru.

O pięknych ambiejach tego teatru warto by napisać więcej i konkretniej. Wznowienia schillerowskiej inscenizacji „Igraszek z diabłem” Drdy może Opolu pozazdrościć Warszawa. Nie tylko zresztą tego. Teatr Opolski stawia sobie zadania najwyższe. Do tego jeszcze wróćmy. Ale przypomnijmy sobie ów cień, jaki przebiegał przez twarz kierownika artystycznego, kiedy przyszło mówić o zespole aktorskim. Przecież aktor to czynnik decydujący w teatrze. Zaczniemy od początku. Latem 1952 r. przybył do Opola młody zespół złożony z absolwentów krakowskiej i warszawskiej uczelni teatralnej. Lidia Zamkow — wybitny reżyser z Krakowa — robi pierwsze przedstawienie — „Pociąg do Marsylii”. W listopadzie absolwentka wydziału reżyserskiego warszawskiej szkoły, Krystyna Skuszanka, daje polską premierę „Sztormu” Billa - Bialo-cerkowskiego, za którą otrzymuje Nagrodę Państwową. Z zespołu grających w „Sztormie” pozostało dziś w Opolskim Teatrze bardzo niewiele osób. Właściwie jest tam obecnie nowy zespół, a i ten stale się zmienia. Widzę, jak żal Skuszanke tego rozbitego i rozbijanego kolektywu. Zresztą zaraz się wypogadza. — Zespół zmienił się. Ale duch chyba pozostał. Tych parę osób z wykonawców „Sztormu”, zagorzałych patriotów naszego teatru, trzyma się i nadaje ton w dzisiejszym zespole.

Dlaczego tak się dzieje, że mło-

dzi aktorzy szybko odchodzą? Warunki pracy są przecież dobre, coraz lepsze. Postawiono w Opolu Dom Aktora, są wygodne mieszkania, są wolne etaty w teatrze, mało ciekawe i coraz piękniejsze. Co ważniejsze, jest to, czego nie było na przykład w Rzeszowie — twórcze, ambitne kierownictwo artystyczne, mające określony program i określone cele, dążące do umocnienia zespołu w pełnym tego słowa znaczeniu, pragnące dźwigać teatr coraz wyżej, nie lubiące kompromisów i łatwizny. W takich warunkach młodzież aktorska może się rozwijać. A jednak... Jednak latem 1953 r. grupa krakowska odeszła do Gdańska, a w rok później grupa warszawska do Warszawy. Dlaczego? Oczywiście młowne byłoby obwinianie samych młodych aktorów, którzy „uciekli”. I Skuszanka ma do tych spraw stosunek bardzo rozsądny i wcale nie pragnie, aby dana grupa młodzieży aktorskiej siedziała u niej w teatrze do końca życia. Tak już jest w zawodzie aktorskim, że co pewien czas zmienia się teatr. Ale żeby dany teatr mógł się właściwie rozwijać, zespół musi na parę lat okrzepnąć i przejścia nie powinny odbywać się masowo. Tylko częściowo wydaje mi się słuszne zdanie Witolda Fitera, który pisał o zespole opolskim w „Przeeglądzie Kulturalnym”, że po zdobyciu pewnej dozy techniki zawodowej od „tubylczych” reżyserów młodzi nie mogą wyciągnąć już nic więcej i dlatego rozjeżdżają się w poszukiwaniu możliwości dalszego rozwoju. Wydaje mi się, że w wypadku Opola sedno rzeczy tkwi gdzieś indziej. Naturalnie, Skuszanka nie da im wszystkich — trzeba ubiegać się o starszych, doświadczonych reżyserów, aby rozwój aktora był wszechstronniejszy. Ale nie sądzę, aby gdziekolwiek indziej by-

(Dokończenie na str. 6)

Zajrzeli do wszystkich pokoi. Mieszkańcy Domu stwierdzili, że wszędzie jest właściwa ilość krzesel. W którymś z pokoi poradzono im:

— Idźcie do świetlicy, pewnie ktoś zabrał wasze krzesła na czas zebrań i nie odniósł, bo dziś brakło krzesel, takie było ciekawe zebranie.

— Wiemy, wiemy, byliśmy. — I pędem zbiegli schodami. Wpadli do świetlicy. Była już na wpół pusta, nieliczni tylko chłopcy grali jeszcze w warcaby.

— Nie, nie ma. — Krzesła w świetlicy były ciemne, ich były z surowego drzewa.

— Może Teofil wie? — powiedział jeden z „majstrów”.

Obudzili go, a gdy usiadł na łóżku, zapytali o krzesła.

— Nie wiem, co wy?

— Przecież było w pokoju, gadaj, gdzie są?

— Kto? ja? Nie było mnie w pokoju.

— Nie było cię? A gdzie był? Przecież na zebraniu nie widzieliśmy cię. Gadaj, komu wydałeś krzesła.

— Dajcie wy mi spokój. — Teofil tracił panowanie nad sobą. — Komu miałbym wydawać krzesła? Dajcież spokój.

— Aleś był tutaj.

— Mówię przecież, że nie.

— To może oby tu wchodzili?

Otworzył im szafkę i szybko stwierdził, że im niczego nie brak.

— No, więc co?

— Mówię wam, że kiedy wróciłem, to już krzesel nie było.

— A gdzie były?

— A gdzie miałem być?

Mineli go jacyś ludzie, zmierzający w milczeniu do stacji. „Jeszcze czas” — usłyszał za sobą czyjś głos, który mu się wydał przyjazny, mimo że mówiący nie do niego się zwracał.

„Jeszcze czas, jeszcze czas” — powtarzał w biegu i było mu różnie, lżej. „A jeszcze czas, jeszcze zdążyć, musi zdążyć. Marysia pytała o niego, a on siedział w domu na Słonecznej, zół obok matki Artystki, mającej naprzeciw Krzywą Szyję i jego kumpłowi, mógł być w pobliżu Marysi, widzieć ją, rozmawiać z nią... Pytała o niego, a więc już się nie gniewa, a on? Słuchał piosenek o Czarniakowskiej, Górnej na Woli, o Starej babie z kałdunem, o Miłości hen, w gwiazdach...”

Na chwilę zjawiła się przed nim twarz matki Artystki, jej loczek skaczący nad czołem, przymilny głos, widział uśmiech, raz przeznaczony dla wesołego, kłaniającego się

„Herbatka” to rozdział z powieści „Powrót do Domu”, która ukaże się w najbliższym czasie nakładem wydawnictwa „Iskry”.

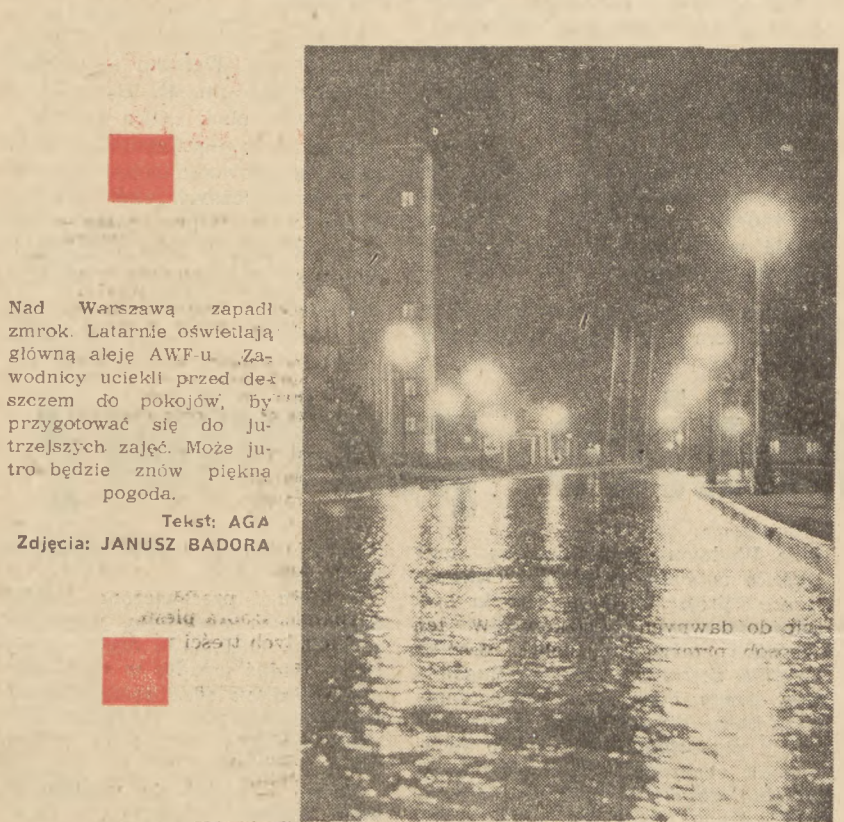
Teofil Lenarek, chłopiec ze wsi, przybyły niedawno do „Ursusa”, gdzie otrzymał pracę, kocha się skrycie w Marysi, której kierownik hali powierzył nowoprzybyłego, by go wprowadzić w produkcję. Chłopiec styka się w fabryce i w Domu Młodego Robotnika z różnymi ludźmi. W czasie „herbatki”, na którą zaprosiła go jedna z dziewcząt zatrudnionych w hali, gdzie pracuje Teofil i Marysia, nasz bohater spotyka koleżków, którzy kiedyś, w dniu przybycia Teofila do „Ursusa”, upili go do nieprzytomności. Teofil nie oczekiwał tych kolegów: gdyby wiedział, że Artystka zaprosiła również jego przeciwników, nie przybyłby na „herbatkę”, która ma wszelkie cechy niewymyślnej zabawy, w której obok Artystki uczestniczy również jej siostra i matka, prowadząca nielegalny handel wódką. Przybył w czasie „herbatki” jegośność, któremu matka Artystki sprzedaje wódkę, jest owym osobnikiem, który u progu Domu Młodego Robotnika wyłudził od Teofila, kilka tygodni temu, sto złotych. W stanie zamroczenia ledwo go poznaje, a gdy zamierza upewnić się, czy to rzeczywiście ten sam, jeden z obecnych koleżków zagradza mu drogę. Ma on powody ku temu, by zatrzymać Teofila: pragnie, aby Teofil jak najpóźniej spostrzegł, co tymczasem zaszło w pokoju, w którym mieszkał,

Jesień warszawskiej AWF Duży krok naprzód

Piękna jesienna pogoda stworzyła w tym roku idealne warunki treningowe dla wszystkich sportowców, a szczególnie dla studentów Akademii Wychowania Fizycznego. Piękny lasek bielanski, wysadzone krzewami i drzewami alejki, boiska, wreszcie hale i basen pływacki — wszystko to składa się na idealne warunki terenowe dla sportowców AWF. Z uczelni tej wychodzą dziesiątki dobrze przygotowanych trenerów, studiuje tam i mieszka wielu czołowych sportowców polskich jak Janusz Sidió, Andrzej Licis, Hajecówna, Poleszczuk, Nowak — ogółem 15 mistrzów



sportu i 45 zawodników klasy I oraz wielu posiadaczy klas II i III, zrzeszonych w większości w 18 sekcjach sportowych koła ASZ. Rektorat Akademii dba o swych studentów, dba o rozwój uczelni, która jest prawdziwą kuznią kadr trenerskich i zawodniczych dla całej Polski.



Nad Warszawą zapadł zmrok. Latarnie oświetlają główną aleję AWF-u. Zawodnicy uciekli przed deszczem do pokoiów, by przygotować się do jutrzejszych zajęć. Może jutro będzie znów piękna pogoda.

Tekst: AGA
Zdjęcia: JANUSZ BADORA

WITOLD ZEGALSKI

Kadzielnica Omara

W słonecznej Arabii, wśród złotych płasków pustyni leży miasto Medyna sławne z pięknych palm i uniwersytetu. A ponieważ poziom nauki był tam wysoki jak minarety w Kairze, przeto studenci nie czekając aż palmy daktylowe zaczną kwitnąć, uczuli się codziennie nawet w porze południowej sjeisty. Był tam także wydział budowy wiszących ogrodów prowadzony przez wielce uczynego Ibn Sida, a nawet ostatni muł sprzed seraju wiedział, że nauka o ogrodach jest bardzo trudna a Ibn Sidi wielce wynagający.

Zdarzyło się, że na ten wydział począł uczęszczać młodymian imieniem Omar przybyły do Medyny z daleko leżącej oazy. Ojciec jego, posiadający dwie palmy i lepiankę w ich cieniu, rzekł mu na pożegnanie: „Gdy wrócisz, Omarze, to wybudujesz nam ogród wiszący, żebyśmy wreszcie mogli żyć w dostatku”. Więc Omar zaczął uczęszczać na wykłady Ibn Sida, lecz ponieważ Medyna jest miastem pełnym uroku, przeto częściej widać go było na bazarze lub zaglądającego ukradkiem w okna haremów niż kiwającego się nad książką. Razu pewnego jednak, gdy przechadzał

się pod znajomym oknem, ktoś rzucił mu kwiat, który zamiast radości wzbudził w Omarze uzasadniony niepokój — było to bowiem kwiecie palmy daktylowej. — O, ja nieszczesny — jęknął Omar — toż to już palmy kwitną i jutro wielki Ibn Sidi zawezwie mnie na egzamin. Ojcie! Dostanę bambusem po piętach a koledy wypomną mi każdy daktyl otrzymany z funduszu pomocy.

POKRYWY

Chodzi tedy biedny Omar po bazarze jak wielbłąd w karawanse- raju, lamentując to cicho to głośno. Tak zawodząc przystanął wreszcie przed pewnym fakirem leżącym na materacu z ostrych gwóździ.

— O Allah! — wrzasnął wściekle fakir — cóż to za podły szkał ośmiela się swym wyciem zakłócać mój dost-jny spokój? Czego się drzesz, ty synu muła?

— Wybacz wielki fakirze — rzekł zbolalym głosem Omar — że mój niegodny jęk przerwał twoją szlachetną drzemkę, lecz pełen jestem gorzkości, która się rozlewa jak woda z pękniętego dzbanu. Rozpacz gryzie mnie jak skorpion jadowity i napętnia serce trwogą. Bo czyż można uśmierzyć gniew Ibn Sida i otrzymać dobry stopień nie wiedząc jak zbudować wiszący ogród? — Można — odrzekł fakir.

— O ulubieńcu proroka, najszlachetniejszy z szlachetnych i najgodniejszy z godnych — zdradź Omarowi w jaki sposób?

— Sztuką magiczną — odparł fakir. — Pokażę tobie jak bym to zrobił, gdy mi dasz piana.

Omar chciał się potargować lecz fakir był nieustrasliwy i w końcu pieniądz zniknął pod kołczastym łóżem. Fakir zapalił na misecze

Kobzy, powołano przy Zarządzie Koła zespół partyjno-zetempowski oraz grupy partyjno-zetempowskie przy poszczególnych sekcjach.

Grupy takie składają się z czterech najbardziej aktywnych członków Partii i ZMP. Zespół przy Zarządzie Koła opracowuje kwartalne plany szkoleniowe sekcji sportowych, które są realizowane przez zespoły poszczególnych grup.

W efekcie takiej organizacji drużyny sportowe stanowią normalną studencką grupę produkcyjną, a funkcja kapitana zespołu jest odpowiednikiem organizatora grupy. W grupie są więc rozpatrywane wszelkie przekroczenia dyscyplinarne, czy niesportowa postawa zawodników lub instruktora; grupy zajmują się sprawami naukowymi zawodników, wnioskują w ich sprawy bytowe. Jeżeli coś przekracza zakres kompetencji grupy, sprawę przenosi się na zespół przy Zarządzie Koła, który

z upoważnienia ZU ZMP ma prawo decyzji. W ten sposób został nawiązany ścisły kontakt między organizacją zetempowską a sportowcami-wychowawcami, który niewątpliwie pomoże kierownictwu sekcji prowadzić pracę wychowawczą.

Grupy partyjno-zetempowskie przy sekcjach sportowych pracują stosunkowo niedawno, trudno więc mówić w tej chwili o konkretnych osiągnięciach czy wynikach. Faktem jest, że odegrały już pewną rolę, cieszą się zaufaniem zawodników, którzy przychodzą do przedstawicieli grup nawet w najbardziej osobistych sprawach.

Inicjatywa ASZ w Rokitnicy zasługuje na uwagę i ta forma pracy powinna być wprowadzona i w innych środowiskach, tym bardziej, że dochodzą znów niepokojące wieści o niezbyt sportowych wyczynach naszych ASZ-owskich drużyn.

DANUTA SUMERA
AM Rokitnica



Biurokracja czy zwykłe lenistwo?

Narysować afisz, napisać audycję dla uczelnianego radiowęzła i pięknie przemawiać na zebraniu potrafi prawie każdy. To nie jest przecież takie trudne. O wiele trudniej wcielić w życie to, o czym się mówi i pisze.

Przekonali się o tym na własnej skórze studenci WSR Olsztyn — członkowie ASZ. Jeszcze w maju i w czerwcu bieżącego roku kilkunastu członków sekcji I a. zdobyło II i III klasy sportowe. Od tego czasu minęło kilka miesięcy. Piękną zielen zastąpiły pożółkłe liście. A Zarząd Okręgowy ASZ w Olsztynie do tej chwili nie zarejestrował zdobytych norm w Wojewódzkim Komitecie Kultury Fizycznej. Sportowcy do dziś nie mają książeczek klasyfikacyjnych, które są przecież wiadomym dowodem ich wysiłku włożonego w treningi i zawody. Znalazło się wprawdzie kilku szczęśliwców, którym sprawy klasyfikacji załatwiono „od ręki” ze względu na konieczność dokonania formalności zgłoszeń do IV Akademickich Mistrzostw Polski.

A cała reszta czeka. Czeką już 6 miesięcy na załatwienie chyba najkrótszej sprawy. Nie zdziwimy się więc wcale jeżeli Zarząd Okręgowy ASZ w Olsztynie zacznie we wrześniu przeprowadzać Biegi Narodowe, w maju zawody łyżwiarskie, a na V Akademickie Mistrzostwa Polski wysła zawodników później o pół roku. Trzeba będzie tylko zamówić sobie specjalny kalendarz.

Na podstawie korespondencji
kol. ST. LEWANDOWSKIEGO
WSR — Olsztyn

LESZEK MANICKI

W wadze koguciej spotkali się dwaj rywale Wychodów i Trojanowski (Wychodów pokonał Trojanowski podczas Mistrzostw Warszawy). Tym razem zwyciężył Trojanowski. Po walce Rudienki z Woj-



rys. H. Linsenman

tasikiem, ASZ prowadził 2:0. Również Zgrzebalski wygrał swą walkę z Jurakowem zdobywając trzeci punkt dla akademików. W wadze muszej Tarasow zwyciężył po krótkiej walce Hermana.

Najpiękniejszą walkę dnia stoczyli: Nowikow i Radomski. Przez cały czas przewagę miał Polak, który kilkakrotnie był bliski zwycięstwa przed czasem. Jednak Nowikow świetnie, w trudnych dla siebie sytuacjach, stosował mostek, z którego zawsze umiał się uwolnić. Wygrał na punkty Radomski.

Gdy naprzeciw siebie stanęli Awisejów i Żywczyk publiczność zerwała się z miejsc. — Czy Żywcykowi uda się rewanż za Mistrzostwa Warszawy? — Pytanie to nurtowało wszystkich. Polak nie zawiodł. Mimo kontuzji zwyciężył jednogłośnie.

Kuczyński, reprezentant Polski, w szóstej minucie położył na łopatkę młodego Pietrowa.

W ostatniej walce dnia spotkali się dwaj trenerzy: Siwiercew, wice-mistrz Związku Radzieckiego z 1934 roku i Grotkowski mistrz ASZ. Walka nie była tak emocjonująca, jak poprzednia. Siwiercew uznany został jednogłośnie za pokonanego. Przyjacielski pocałunek dwóch trenerów zakończył to międzynarodowe spotkanie, które wygrał ASZ w stosunku 7:1.



Rys. Jerzy Cwiertnia

— O świętynio wiedzy, domie różnany, mistrzu prawdziwy, zali mój podły głos nie obrazi twego dostojnego ucha?

— Jak się zawiesz ogrodą, Omarze? — powtórzył Ibn Sidi.

Omar poruszył gwałtownie kadzielnicą i zakwilił:

— O wielki, o potężny, o wszech-mądry — jakże mogę przy tak wielkim umyśle ujawniać moje skromne poglądy. Przecież obraziłbym twoją wielkość!

— Jak się zawiesz ogrodą, Omarze? — zapytał po raz trzeci Ibn Sidi.

— Twoja wielkość mnie przytłacza, o panie — zapiszczał Omar ruszając żwawo kadzielnicą — a ponieważ jestem z natury nieśmiały, przeto przy takiej wielkości czuję się mały, przy twym blasku czuję się cieniem, przy twej pełni wiedzy czuję się pusty jak łupina orzecha.

Ibn Sidi podniósł głowę i otworzył oczy.

— Na brodzie proroka i wszystkich świętych kalifów! Cóż ty trzymasz w ręku Omarze?! Kadzielnice! Od dłuższego już czasu zastanawiam się co w tym przybytku nauki tak cuchnie. A to twoja mowa i kadzielnica wydają taką nieznosną woń! Jak można zatruwać powietrze myrrą!

W istocie jesteś pustą łupiną ty nieurodzajny piasku pustyni.

I zdjąwszy sandał z nogi wygościł Omara aż na ulicę.

— Tak, nie ma cudów — mru- czał Omar w domu, pochylony nad grubą księgą.

— Nie przypuszczałem jednak, że Ibn Sidi ma nie tylko mocną głowę — jęknął trzymając się za pośladki.



— Przepraszam bardzo, czy to jest może pani kot? (Eulenspiegel)



BEZ SŁÓW

Rys. A. Szelągowska